

Albert Boissiere.

# Człowiek bez twarzy.

11

(Ciąg dalszy).

— Ewelina wyjdzie za mąż i bez ciebie, mój drogi. Do czego może jej być potrzebny Jonatan Brentano!... Co zaś do formalności francuskich, to się bez nich obejdziemy!... Znajdź naprzód odpowiedniego chłopca!... Załatwimy wszystko na miejscu w Ameryce... pójdziesz tam daleko lepiej i prędzej... A teraz kiedy już wiesz wszystko, Jonatanie, bądź zdrow stary przyjacielu i współniku!... Do widzenia! idę coś przekąsić.

Już kwadrans temu wyszedł Joe, ten nadzwyczajny jankes, a ja siedziałem ciągle w swym fotelu, rozważając wszystko, com usłyszał, budując nowe hipotezy, bawiąc się w nowe przypuszczenia, lecz w końcu doszedłem do jednego tylko wniosku, iż człowiek ten jest moją opatrnością i nie powinienem odtrącać ręki, którą do mnie wyciąga. I pocóż ja przedtem z takim zapalem twierdziłem, że raczej zgodzę się na wszystko, niż na wyjazd z nim do Ameryki! Czyż ja w istocie nie byłem tylko ciągle automatem bez woli, w ręku tego króla papierowego, który mnie nakręcał jak chciał! Ach! Polidorze, mój biedny Polidorze! Zdawało mi się, że będę twym sędzią, a jestem twym zbawcą! Przysięgałem niedawno Ewelinie i Marcadianowi, iż nie wyjdzie on żywy z tego domu waryatów, a teraz okazuje się, iż go sam z niego wyprowadzam. I cóż znaczą ludzkie wyrachowania i plany wobec losu, który rządzi nami bez nas. Ach! Polidorze, widocznie serce matki czuwa nad tobą! ...I pijany radością udałem się do trzynastej celi, gdzie Z... pogrążony był w głębokim śnie.

## XII.

By ocenić tajemne myśli każdego, by zrozumieć smutek, w jakim postanowienie me pogrążyło jednego i radość, jakiej doznał z tego powodu drugi, by jednym słowem poznać się na tych sprzecznych z sobą objawach różnych uczuć, należało być przenikliwszym odemnie. Joe nie krył swego zadowolenia z dziwnego wyboru, jaki uczyniłem. Było to dla niego coś niezwykłego, nieprawdopodobnego i uderzał się z radości po kolanach i klepał mnie swą potężną ręką po plecach, powtarzając ciągle: — Rzeczywiście, Brentano, jesteś niezwykłym oryginałem... Jąbym nie zdobył się na coś podobnego! Ale czy jesteś pewny, że ten waryat nie jest niebezpiecznym?... Jeżeli nie dbasz o swoją skórę, to rozchodzi mi się jednak o moją!...

Wtórowała mu swą wesołością i uspakajałem go:

— Nie obawiaj się, Joe!... Jeżeli nie chcesz ufać wiedzy swego syna, to polegaj na mej przezorności... Pomieszanie zmysłów ozdabiają teraz szumnymi i niezrozumiałymi nazwami... Grecy uważali to tylko za karę mściwej bogini... A czyśmy się bardzo zmienili od tych czasów?... Ten waryat, który niepokoi Williama i od którego go uwalniam jest tylko zakochanym...

— Doskonale!... Zakochany, mówisz?... Właśnie takiego mi potrzeba!

— Jest to chory, dotknięty utratą pamięci, amnezją, jak to uczenie nazywają psychiatrzy.

— A ty mu przywracasz pamięć?... Doskonale!...

I Joe pękał ze śmiechu.

Nie tak łatwo poszło z Williamem... I on mnie uważał bez wątpienia za oryginała. Jego nieświadomość istoty rzeczy była tak wielka jak i milionera. Niezadowolenie jego zresztą polegało nie na tem, że jadę z Z..., lecz po prostu na tem, iż odjeżdżam. Nie mógł się pogodzić z tą myślą. Ciągle był milczący i szukał powodów, które mnie do tego skłoniły... Zaczął od przekonywania mnie i namawiania delikatnymi wyrzutami, synowskimi prośbami...

— Nie mogę zrozumieć — mówił mi — dlaczego zmieniłeś tak nagle swe zdanie i dlaczego nie chcesz odłożyć wyjazdu do Ameryki do zawarcia naszego ślubu, na którym byłbyś dla nas niejako poręczycielem naszego szczęścia... Mogłbyś odłożyć na później swe interesy!... Czyż ten mój czcigodny ojciec, Joe, nie kręcił tobą dotychczas jak chciał?... Tak, ja wiem... jakaś szatańska ciekawość pcha cię do zobaczenia jak najprędzej Nowego Jorku i Bostonu po dwudziestu latach!... Lecz kilka miesięcy później czy wcześniej, cóż to znaczy!... Zdaje mi się, że po tych wzajemnych zwierzeniach, któreśmy sobie uczynili o mojej biednej matce, kochającej cię

do końca swego życia, mógłbyś przystać na prośby.

Byłem zakłopotany, gdy William poruszył ten temat... Obowiązkiem moim było utrzymywać go w błędzie, wzbudzać ku sobie coraz większą wiarę... Chwyciłem się podstępów i odparłem:

— Mój kochany Williamie, właśnie z powodu pamięci o twej biednej matce, o mej drogiej Nelly Burlington powziąłem to nagle postanowienie...

— Zartujesz sobie!

— Moje drogie dziecko, uspokój się!... Daj mi tylko pięć minut czasu na wytłumaczenie ci wszystkiego. Między Joe a mną istnieje przymierze jakby zapomnienia i ja nie mam prawa rozrywać go z pobudek czysto platonicznych, czysto uczuciowych... Nie byłoby to lojalnie z mej strony!... Joe wraca do Nowego Jorku przed waszym ślubem i ja muszę mu towarzyszyć... Pojmij, że moja obecność na waszym ślubie mogłaby go drażnić, mogłaby obudzić nienawiść, jaką miał dla przyjaciela Nelly Burlington! Czyż nie byłoby to, drogi Williamie, drwienie sobie z jego naruszonego honoru?... Świat nie omieszkaby powiedzieć: „Naturalny ojciec Williama kpi sobie ciągle z króla papierowego“. Byłaby to bezcelowa zniewaga... a co więcej, zniewaga pamięci Nelly Burlington!... W oczach świata musisz pozostać synem Joe Duncana choćby przez pamięć dla swej matki... Jemu nie brak wielkości duszy, którą okazuje przez zapomnienie przeszłości, przez zachowywanie w tajemnicy mego ojcostwa... Przyznasz chyba, że nie możemy być niżsi pod tym względem od niego i nie mamy prawa rozjrzierać jego rany!...

William zdawał się być przybity memi słowami... Dowody me wzruszały go, lecz nie przekonywały... Starał się w inny sposób wpłynąć na mnie...

— Ja nie mogę być o ciebie spokojny! Ja wiem dobrze, że mój ojciec jest zdolny do wszystkiego!

Zaprzeczyłem z oburzeniem:

— I ty to mówisz, moje dziecko!... Przecież przekonałeś się sam o błędzie swej matki, gdy oskarżała twego ojca o me zabójstwo... Przecież to jest niesłuszne!

— Widocznie, że tak — szeptał zmieszany. — Ja nic nie wiem... Bardzo możliwe, że mówię bez sensu. Cóż mam począć? To jest silniejsze odemnie!... Jest to jakieś przecucie, że po twoim odjeździe tam i po odnowieniu waszej spóki, dojdzie między wami do jakiejś strasznej, okropnej sceny.

I zrobił ruch, jakby odpędzał od siebie jakąś zmore, która go męczyła. Mówił dalej urywanym głosem:

— A ten pomysł zabierania z sobą Z...! Nic a nic z tego nie rozumiem! Czy to prawda, co mi powiedział mój ojciec, iż chcesz mu zabezpieczyć los?... To wydaje mi się dziwnem!

— To nie jest dziwne, to bardzo proste... Joe dał mi kilka dowodów dobrej wiary... I ja mu muszę przeto okazać choć jeden...

— Jaki?

— By odpowiedzieć na jego zapomnienie przeszłości, winienem okazać jakimś czynem, któryby go wzruszył, że i ja się zobowiązuję według możliwości do zapomnienia... Wszystko to, co bym uczynił dla ciebie, mogłoby posłużyć tylko, jak ci to już powiedziałem, do zadania nowej rany jego honorowi. I otóż ja, Jonatan Brentano, bezdzietny współnik króla papierowego, adoptując nieznanego sobie chłopca, zmniejszam w ten sposób w oczach świata winę swą i winę Nelly Burlington... i daję ci słowo na to, że ten postępek przejał go więcej, niż to mogę wyrazić, wzruszył go do łez... Postępując tak, postąpiłem jak dobry dyplomata... Nie będą cię obrażał posadzeniem o gniew, iż podzieliłem swój majątek... Będiesz zawsze moim ukochanym, drogim Williamem, pierwszym w mem sercu... Zgadzasz się więc, że to maskowanie mych prawdziwych uczuć dla ciebie, może omamić każdego, a między innymi i twego mniemanego ojca!

— Dobrze — poddał się moim tłumaczeniom. — Lecz dlaczego Z..., a nie kto inny?

— Dlaczego nie kto inny, tylko Z...? Nie znam nikogo na świecie. Jest to nieszczęśliwy, który stał się moim protegowanym... Jest to raczej upośledzony na umyśle, niż szalony... Powiedziałeś mi, że jest niebezpieczny!... A przytem uwalniam cię od chorego, który może ci przyczynić tylko wiele kłopotów.

— To prawda! — rzekł William ze smutkiem... ty masz zawsze rację!

Objął mnie obiema rękami za szyję i przyciskając do siebie, westchnął:

— Marzeniem mojem było zachować cię zawsze przy sobie i przy mej ukochanej żonie, której położenie pod wielu względami jest podobne do mo-

jego!... Ona nie ma ojca, ja jeżeli go mam, to nie mam prawa nazywać go tak publicznie!... Byłbyś dla nas obojga opiekunem i panem naszego ogniska domowego, przy którym czeka na ciebie miłość... Ty jednak wybrałeś co innego i muszę się poddać twej woli!...

Wzruszenie Williama zaczęło się udzielać i mnie i gdyby dalej mówił tym samym tonem, nie mogę ręczyć, czybym nie dopuścił się jakiego głupstwa! Nie miałem już żadnych wykrętów, nie potrafiłbym już nic nowego zmyślić... budziło się we mnie jakieś pragnienie zderzenia z twarzą swej maski, wyznania całej prawdy!

W chwili tej odwołali go do jakiegoś świeżo przybyłego pacjenta i mogłem wskutek tego przyjść do siebie... Wstydzilem się samego siebie!... Przez tyle czasu utrzymałem się doskonale w swej roli, aż nakoniec omal nie zepsułem wszystkiego. Inaczej zupełnie zapatrywali się na mój wyjazd Marcadian i Ewelina, którzy mi wieszowali tej podróży z prawdziwą szczerością. Nie potrzebowalem przymuszać się do okazywania im jakichś czułości i mogłem swobodnie przyjmować ich życzenia szczęśliwej podróży. Marcadian nie opuszczał mnie ani na krok. Towarzyszył mi nieustannie w mych codziennych wycieczkach... Oprawdzał mnie po sklepach i magazynach, kazał pokazywać najwytworniejsze kufry. Oglądał wartość skór na walizkach, a nawet, gdybym mu nie przeszkodził, płaciłby za mnie rachunki!... Przy każdej sposobności wyrażał swe zadowolenie a zarazem i żal.

— Jaki pan szczęśliwy, master Brentano, że mieszka pan w Stanach Zjednoczonych!... Było to marzeniem całego mego życia... kraj wolny, gdzie wszystko jest kolosalne... kraj pozbawiony naszych konwenansów i przesądów!...

Jego uniesienia z początku udane, dochodziły wreszcie do śmieszności.

— Życie tutaj w Paryżu musi wydawać się panu nie ciekawem, nudnem?

— Przepraszam, bardzo jest przyjemne...

— Tak, lecz dość pospolite, ciągle jednakowe...

Musiąłem hamować się, by nie roześmiać się mu w nos... Jeżeli wyobrażał sobie, że życie me w Paryżu pozbawione jest niespodzianek, to nie wiem, co by go mogło zadowolić!

Sprawy z Z... prawie nie poruszał, lecz gdy ja zaczął o niej mówić, zdawał się być bardzo tem uszczęśliwiony. Jego rozlewność nie miała już granic!... Byłem dla niego człowiekiem opatrnościowym, uosobieniem dobroci... Mój zamiar przyjmował w ustach jego jakieś olbrzymie rozmiary... Porównywał mnie do Carnegiego, który rozdaje swe miliony dla dobra ludzkości, uważał mnie za wcielenie filantropii, choć niczem jeszcze jej nie okazałem.

Śluchałem obojętnie tych głupstw swego szwagra, lecz gdy przylączyła się do nich i Ewelina ze swemi delikatnymi podziękowaniami i wyrazami wdzięczności, nie mogłem się już obronić przed wzruszeniem. Trzy razy w ciągu tych pięciu dni jeździłem na obiad na ulicę Michała-Anioła i za każdym razem mnożyły się uprzejmości dla mnie, z których cieszyłem się tajemnie. Ewelina grywała mi ulubione utwory Griega, a po skończeniu siadała koło mnie na fotelu i mówiła:

— Nigdyby pan nie uwierzył, jak bardzo interesuję się tym Z..., który mnie wtedy tak przestraszył!... Jest to naprawdę szlachetny uczynek... Ja pana bardzo kocham, master Brentano... lecz sto razy, tysiąc razy będę pana kochała więcej, jeżeli pan przyrzeknie mi, że po przyjeździe do Nowego Jorku nie opuści go!

Z ojcowską miłością głaskałem po twarzy Ewelinę i odpowiedziałem z uśmiechem:

— Co za sprzeczności pani okazuje!... Przed tygodniem musiałem przyrzec pani, że ten nieznajomy nigdy nie wyjdzie z swej celi... a dzisiaj cieszy się pani z mego odjazdu i jego... Przyrzekam, że będę zawsze go miał na oku i że zapewnię mu los... Nie uważam go za pozbawionego inteligencji... Sądzę raczej że jest to człowiek nieszczęśliwy...

— Tak, tak... nieszczęśliwy — pospieszyła potwierdzić me słowa.

I stawała się zamyśloną, a ja czytałem w jej zadumanu, jak w otwartej książce, to, co nęka jej biedne serce.

Zaraz też po rozmowie z nią, pożegnałem Marcadiana i Ewelinę i udałem się do domu zdrowia, od celi rzekomego waryata, a właściwie mego syna. Gdy mu wytłumaczyłem, jakie zamiary powziąłem względem niego, nie okazał najmniejszej radości z powodu uwolnienia się tym sposobem z domu zdrowia i wyjazdu daleko od miejsc, w których przeżyliśmy tyle przykrych chwil. Słuchał mnie roz-targniony i gdy mu wreszcie skończył wyjaśniać